

VOLTAIRE

KANDYD

Voltaire

Kandyd

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23552906

Kandyd:

Аннотация

Kandyd to najśtywniejsza powiastka filozoficzna autorstwa Woltera. Niezwykłe przygody tytułowego bohatera, związane z wygnaniem z kraju i podróżami po świecie, są pretekstem do ujawnienia poglądów Woltera – przede wszystkim krytyki Leibnitzowskiego twierdzenia o tym, że żyjemy na najlepszym z możliwych światów. Kandyd to utwór popularyzujący filozofię oświeceniową – krytykujący zabobonność, instytucję Kościoła oraz zastaną filozofię. Wolter przedstawia również wizję idealnego państwa, Eldorado, nieskażonego szkodliwą działalnością człowieka, ale z wysoko rozwiniętą nauką, zwłaszcza w zakresie nauk ścisłych. Filozof propaguje rozumowe podejście do świata, uznaje, że rozum powinien mieć wpływ na moralność, religię i wiarę – uznaje istnienie Boga, ale jako deista odrzuca wizję Jego ingerencji w losy świata. Kandyd był jednym z najbardziej kontrowersyjnych utworów w historii literatury, powieść została umieszczona w Indeksie Ksiąg Zakazanych. Wolter napisał Kandyda w 1759 roku.

Содержание

Od tłumacza	4
Jak Kandyd chował się w pięknym zamku i jak go stamtąd wygnano	17
Jak Kandyd dostał się między Bułgarów	21
Jak Kandyd umknął z armii Bułgarów i co mu się przytrafiło	25
Jak Kandyd spotkał swego dawnego mistrza filozofii, doktora Panglossa, i co z tego wynikło	29
Burza, rozbicie, trzęsienie ziemi, jako też inne przygody doktora Panglossa, Kandyda i anabaptysty Jakuba	34
Jak uczyniono piękne autodafé ²¹ , aby zapobiec trzęsieniom ziemi i jak Kandydowi wychłostano zadek	39
Jak pewna staruszka zaopiekowała się Kandydem i jak odnalazł przedmiot swego kochania	42
Historia Kunegundy	45
Конец ознакомительного фрагмента.	47

Kandyd

Od tłumacza

W pierwszej epoce swojej długiej i bogatej twórczości, Wolter¹ nie tyle troszczył się o to, aby społeczeństwo reformować i ulepszać, ile aby, w takim jak jest, zająć najpocześniejsze miejsce. Prowadziły wówczas do tego celu trzy drogi: talent, majątek i szlachectwo. Pierwszego ma pod dostatkiem i szafuje nim zręcznie, nie wahając się rozmieniać go w potrzebie na drobną monetę salonowej galanterii i igraszki; drugi osiąga rychło, obracając przezornie schedą ojcowską, wyzyskując koneksje i stosunki, i zdobywając już za młodu podstawy materialne, które mu zapewnią na całe życie niezależność, a nawet bogactwo. Trzeci atut, szlachectwo, nim je później nabędzie za gotówkę, usurpuje sobie, sposobem naówczas dość powszechnym, zmieniając mieszczańskie nazwisko Arouet na fikcyjno-szlacheckie „de Voltaire”. Uzbrojony tym potrójnym rynsztunkiem, Wolter wchodzi śmiało w najlepsze towarzystwa Paryża i dociera niebawem do sfer najwyższych, aż do dworu. Dowcipem swoim, ciętością epigramu i łatwością wierszowania

¹ *Wolter* – właśc. François-Marie Arouet (pseud. Voltaire) urodził się w r. 1694 w Paryżu, zmarł, również w Paryżu, w r. 1778. [przypis tłumacza]

opłacał Arouet bez trudu prawo obywatelstwa w tym błyszczącym, żądnym wesela i łatwej uciechy świątku Regencji; ale ambicje poety sięgały wyżej. Wśród zabaw i rozrywek pracuje nad tragedią w stylu klasycznym *Edyp*, która, wystawiona w r. 1718, jedna 24-letniemu autorowi laury godnego – zdaniem współczesnych – następcy Corneille'a i Racine'a. Epopeja narodowa, której bohaterem jest najpopularniejszy z królów Francji, Henryk IV – *Henriada* – opromienia nowym blaskiem imię poety, a w ślad za rozgłosem sypią się i pensje ze szkatuły ks. Orleanu (1718), króla (1722) i królowej (1725). Jedenaście miesięcy spędzonych w więzieniu, w osławionej Bastylii (maj 1717 – kwiecień 1718) za utwór pt. *Widziałem*, którego nie napisał, oraz za pamflet *Puero regnante*, którego Wolter istotnie był autorem, uzupełniają obraz życia wziętego literata pierwszej połowy XVIII wieku. Słowem, w latach tych Wolter żyje w upojeniu sławy, blasku, obcowania na równej – na pozór – stopie z najmożniejszymi panami, słowem, tryumfu na całej linii.

Wśród tego mąci życie jego wypadek, który ściąga poetę z obłoków na ziemię. Kawaler de Rohan, z którym miał nieszczęście przemówić się w teatrze, wywołał go z pałacu księcia Sully, gdzie Wolter był na obiedzie, i po prostu kazał oćwiczyć go lokajom, gdy sam kawaler, siedząc w karocy, czuwał nad sumiennym wykonaniem zlecenia. Wolter pieni się w bezsilnej wściekłości tym bardziej, że widzi, iż jego najbliżsi „przyjaciele”, książęta i margrabiowie, uważają całe zajście za przygodę dość zabawną, naturalną i – bez znaczenia. Mimo

iż z natury niezbyt rycerski, Wolter chce się bić, domaga się pojedynku; ale rodzina kawalera de Rohan kieruje sprawą inaczej: poeta dostaje się znowuż do Bastylii (1726), skąd po miesiącu wychodzi pod warunkiem, iż uda się na jakiś czas do Anglii. Tym razem Wolter miał wszelkie przyczyny zauważyć, iż nie wszystko jest doskonałe „na tym najlepszym ze światów”.

Przybywa do Anglii dobrze zaopatrzony w czeki i w rekomendacje nawet samego ministerstwa zawstydzonego nieco swą rolą w tej sprawie. Spędza tu półtrzecia roku, chłonąc w siebie atmosferę życia umysłowego Anglii, która dla ówczesnego francuskiego przybysza musiała się wydać rajem wolności osobistej, politycznej i intelektualnej. W ciągu tych lat Wolter buduje silne podstawy własnej kultury duchowej; z ciekawością bada nowe dlań społeczeństwo, jego idee, obyczajowość, instytucje, sekty; zapoznaje się z literaturą angielską, z obcym wówczas zupełnie dla Francji Szekspirem; odnajduje powinowactwo z własną umysłowością w racjonalistycznej filozofii Locke'a; nabiera gruntownego wykształcenia i zamiłowania przyrodniczego, zwłaszcza w nauce fizyki. Rezultatem pobytu są *Szkice* oraz *Listy filozoficzne*, które ukazały się najpierw po angielsku (1733), następnie po francusku; zaraz w pierwszym roku (1734) uzyskały pięć wydań, wywołały żywą polemikę i silne zaniepokojenie sfer duchownych i rządowych we Francji. *Listy filozoficzne* zawierają w zarodku już cały „wolterianizm”.

Mimo formalnego pozwolenia na powrót do Paryża, Wolter

uwazał za bezpieczniejsze usunąć się nieco z widoku. Osiada niedaleko granicy, w Cirey, w zamku, z którego panią, margrabiną du Châtelet, łączyły go tkliwe stosunki. Lata spędzone w Cirey są dla Woltera latami wytrwałej i owocnej pracy. Wraz z margrabiną, zapamiętałą fizyczką, tłumaczką dzieł Newtona, zagłębia się w nauki przyrodnicze, eksperymentuje. Dla przyjaciółki swej, zmierzonej błahością i nienaukowością historii, takiej jak ją pojmowano wówczas, pisze kapitalne swoje dzieło: *Essai sur les moeurs* – „Zarys obyczajów” – szeroko zakreśloną i własnym duchem ożywioną kompilację – jak również znakomite, jak na swój czas, prace historyczne: *Historię Karola XII* oraz *Wiek Ludwika XIV* (dokończony znacznie później, w czasie pobytu na dworze pruskiego Fryderyka). Wśród tego częste wycieczki w sferę literatury pięknej; żartobliwy i wyuzdany poemacik *La Pucelle* – parodystyczna historia Dziewicy Orleańskiej – dla nas mało smaczny i zabawny, wówczas cieszący się olbrzymim powodzeniem, mimo iż krążył na razie w odpisach; antyklerykalna tragedia *Mahomet*, która, chłoscząc rzekomo fanatyzm muzułmański, mierzy wyraźnie w katolicyzm (Wolter, niby z głupia frant, ofiarował tragedię papieżowi Benedyktowi XIV; papież, nie pozostając dłużny w koncepcie, przyjął dedykację i przesłał autorowi błogosławieństwo); prócz tego inne tragedie, które grywa się w Cirey, w teatrze urządzonym na strychu; wreszcie polemiki, madrygały, korespondencja etc. W owym czasie rozpoczyna się wymiana listów z Fryderykiem pruskim, wówczas jeszcze

następcą tronu (nawiasem mówiąc, jeden z mniej apetycznych dokumentów ludzkości), która, przzerwana na jakiś czas osobistymi nieporozumieniami, miała się ciągnąć przez całe życie pisarza.

Po dziesięciu latach względnej samotności Wolter zatęsknił za gwarem Paryża. Dzięki poparciu pani de Pompadour odzyskuje łaski dworu. W r. 1743, po świetnym sukcesie tragedii *Merope*, król wyprawia pisarza w misji dyplomatycznej do króla pruskiego; za powrotem, w zamian za widowisko dworskie sklecone z okazji małżeństwa Delfina, zostaje Wolter szambelanem królewskim i historiografem Francji. W r. 1746, znowuż za poparciem pani de Pompadour, wchodzi do Akademii Francuskiej. W tych latach Wolter znów skłonny był mniemać, iż wszystko na tym świecie toczy się dosyć znośnie; skreślony w owym czasie drobiazg *Widzenie Babuka* oddycha zadowolonym z siebie i z drugich optymizmem.

W r. 1749 Wolter stracił wierną przyjaciółkę, panią du Châtelet. Margrabina, serdecznie opłakiwana, zmarła wskutek ciąży, której sprawcą okazał się – młody oficer i poeta, Saint-Lambert, ten sam, który był później kochankiem uwielbianej przez Russa² pani d'Houdetot. Wydarzenie to stało się sensacją Paryża i Europy, a Saint-Lambert, jak głoszą światowi kronikarze, zdobył dzięki niemu ostrogi pisarskie.

² *Russo* – właśc. Jean-Jacques Rousseau (1712–1778) pisarz francuskojęzyczny, pochodzący z Genewy, filozof; tu: zapis nazwiska zgodny z wymową oraz polską odmianą formy fonetycznej. [przypis edytorski]

Złośliwy język i dość trudny charakter nie pozwoliły Wolterowi długo zachować łask dworu. Niebawem, zrażony do Francji, dał się nakłonić pochlebnym propozycjom króla pruskiego Fryderyka i w r. 1750 przybył do Poczdamu. Otrzymał pensję 20 000 fr., wysoki order, tytuł szambelana i mieszkanie w pałacu, z jedynym obowiązkiem poprawiania francuskich wierszy Fryderyka. Pierwszy okres pobytu spłynął rozkosznie, na zabawach, gawędach filozoficznych, wzajemnej admiracji. Z czasem dwa charaktery mające zanadto wiele cech podobnych zaczęły się ścierać; z obu stron padały słówka trudne do zapomnienia, a powtarzane przez usłużnych dworaków; stosunki stały się naprężone, aż w końcu przyszła konieczność zerwania. W r. 1753, Wolter, zrzekłszy się pensji, zwróciwszy klucz szambelański, opuszcza Prusy rozczarowany, rozgoryczony, nękanym jeszcze na granicy państwa dokuczliwościami króla. To była jego ostatnia szkoła życia; nie chce już odtąd żadnych, choćby złoczonych kajdan, chce żyć wyłącznie u siebie i dla siebie. Osiedla się zrazu w Szwajcarii, w pobliżu Genewy; później, kiedy mu dokuczył nieco purytanizm szwajcarski, nabywa piękne dobra Ferney, położone w pasie granicznym, częścią we Francji, częścią w Szwajcarii. Na gruncie francuskim może uprawiać u siebie ulubione widowiska teatralne, które były kamieniem obrazy dla surowych Genewczyków; na wolną zaś ziemię szwajcarską może schronić się w każdej chwili, w razie niebezpiecznego poddmuchu ze sfer francuskiego rządu. Na własnym tedy „dworze” pewnego rodzaju, w słynnych Délices, a

potem w Ferney, spędzi ostatnie dwadzieścia parę lat życia, te, z których utrwali się dla przyszłych pokoleń wizerunek i legenda Woltera.

Istotnie, osobliwym jest zjawiskiem żywotność, jaką rozwija Wolter w tej ostatniej fazie, między sześćdziesiątym a osiemdziesiątym z górą rokiem. Jest to w całym jego życiu epoka najbardziej może czynna, najbujniejsza, w której cały kapitał nagromadzonej wiedzy, myśli, poglądów, doświadczeń, spożytkowuje dla celów doraźnej działalności i agitacji. Przez lat dwadzieścia zdoła ten niespożyty starzec utrzymać w pół-rozbawioną, w pół-zgorszoną Europę w ciągłym napięciu, dając jej co dnia coś nowego, a zawsze związanego z palącymi sprawami współczesności. Prócz olbrzymiej korespondencji, która w owym czasie miała znaczenie daleko wybiegające poza prywatną wymianę myśli, idą w świat z siedziby filozofa niezliczone ilości tzw. pasztecików Woltera, broszurek, dialogów, powiastek, „katechizmów filozoficznych”, kolportowanych oczywiście bezimiennie, ale w których cała Europa domyślała się ręki autora. Wolter nie gardził żadnym środkiem; cieszyły go i obiegające plotki z drobnych wydarzeń jego domowego życia, nie cofał się też przed ohydną nieraz polemiką z lada jakim przeciwnikiem, z której obie strony wychodziły umazane błotem. Niewyczerpany tym jeszcze Wolter rozwija działalność praktyczną, stwarza dokoła siebie cały dwór, kolonie, fabryki, buduje dobrobyt otaczającej go ludności, rzuca się wszędzie, gdzie mu się nadarza sposobność

bronieć prześladowanych, zwłaszcza gdy chodzi o fanatyzm religijny. Wrodzona skłonność do pieniactwa dodaje mu zapału i wytrwałości w tych kampaniach, z których najgłośniejsza sprawa Calasów³ budzi przez kilka lat entuzjazm w całej Europie. Ta działalność ostatnich lat życia zdobywa Wolterowi poniekąd to, czego, przy całym rozgłosie, brakło mu po trochu zawsze, tj. szacunek publiczny. Podróż jego do Paryża w r. 1778 jest olbrzymią apoteozą za życia; ale osiemdziesięcioletni starzec nie podołał tym wzruszeniom, zbyt mocnym na zwątlone siły; umiera, do ostatnich chwil przed zgonem zajęty jeszcze pracą nad historycznym *Słownikiem języka francuskiego*, którego projekt przedkłada Akademii.

Po Wolterze pozostał rozgłos jego imienia, które stało się godłem pewnego typu i kierunku umysłowości; natomiast z ogromnej puścizny piśmienniczej żywego pozostało niewiele. Jak często się zdarza, te dzieła, do których największą przywiązywał wagę i najwięcej w nie włożył twórczego wysiłku, najmniej mu się wyplącały; bardziej przetrwały inne, kreślone od niechcienia, w weselu ducha i beztrosce. Martwą

³ sprawa Calasów – sprawa Jeana Calas, hugenoty, oskarżonego w 1762 r. o zamordowanie swego syna, Marc-Antoine'a zamierzającego rzekomo przejść na katolicyzm (Marc-Antoine najprawdopodobniej popełnił samobójstwo lub padł ofiarą napadu); ojca połamano kołem dla uświetnienia uroczystości dwudziestej rocznicy rzezi hugenotów, z syna uczyniono katolickiego świętego-męczennika, jego młodszego brata, Pierre'a zmuszono do konwersji na katolicyzm, wszystkich zresztą członków rodziny dotknęły represje; w związku z tą sprawą Voltaire napisał *Traktat o tolerancji* w 1763 r., a w 1765 r. doprowadził do rehabilitacji Jeana Calasa przez fr. parlament. [przypis edytorski]

jest dzisiaj *Henriada*; jego tragedie znaczą raczej upadek niż wyżynę francuskiego teatru. Z poglądów historycznych i filozoficznych wiele, bardzo wiele weszło w krew pokoleń, przyczyniając się potężnie do dalszej ewolucji myśli ludzkiej; same jednak dotyczące dzieła postarzały się i zblakły. Na wskroś czytelną pozostała do dziś olbrzymia korespondencja Woltera, jak również jego „powiastki filozoficzne” ujawniające w żywym swoim toku artyzm bardzo odrębny i swoisty. Wzór tych powiastek, *Kandyd*, pozostał dotąd najautentyczniejszym arcydziełem.

Jeżeli Balzac nazwał swój olbrzymi cykl powieściowy *Komedią ludzką*, to temu mniejszemu cyklowi powiastek Woltera można by snadnie nadać miano „Teatru marionetek”. Życie wewnętrzne wszystkich występujących w nim figur sprowadzone jest rozmyślnie do kilku automatycznych poruszeń, niemal tików; mechanizm sznureczków, które nimi poruszają, jest dziecinnie prosty, a spoza maleńkiej scenki wychyla się bez ceremonii ironicznie uśmiechnięta twarz wpół-rozbawionego, wpół-zgorzkniałego starca, pociągającego kolejno te nitki. Takiej właśnie, a nie innej metody wymagał snąć przeważający tutaj – jak w całym dziele XVIII wieku – *dydaktyzm* Woltera; pisarzowi nie tyle tu chodzi o malowanie życia w jego bogactwie i różnorodności kształtów, ile o zestawienie szeregu faktów drobnych i celowo wyłuskanych z wszelkiej obsłonki w ten sposób, aby z nich wynikało jasno nawet dla najbardziej uprzedzonych i ślepych, do jakiego stopnia ludzkością rządzą

niedorzeczność, szaleństwo i przesąd (przesąd: oto hasło dnia!). Wolter nie jest zbyt oryginalnym myślicielem; większość myśli jego to obiegująca moneta *filozofii* tzw. *encyklopedystów*; ale celuje on jak nikt inny w sztuce ładowania pojęć „łopatą do głowy” i to do głów najtwardszych zazwyczaj, bo koronowanych. Kogokolwiek raziłaby owa dziecinna nieraz dla nas symplifikacja, jaką posługują się pisarze XVIII w., ten niech pamięta, że „filozofia” była w owej epoce we Francji kościołem wojującym, żądającym nawracania i zdobywania prozelitów, że tym samym musiała szukać metod najspodobniejszych do praktycznego działania; dalej, że zwracała się przede wszystkim do możnych panów, zawsze niezbyt pochopnych do mózgowego wysiłku, oraz do kobiet (olbrzymia rola kobiet i ich salonów w umysłowości ówczesnej!). Znalazła, nad własne spodziewanie, trzeciego, również nadspodziewanie wdzięcznego czytelnika i odbiorcę: tj. masę ludu, które właśnie dzięki temu niezmiernemu uproszczeniu chłonęły chciwie nową naukę i niebawem wyciągnęły z niej najdalsze konsekwencje. Czytamy dziś te pisemka jak niewinne gawędy dla dorastającej młodzieży; ale pamiętajmy, że w swoim czasie one były tym dynamitem, który wywołał eksplozję jedną z największych w dziejach świata; że autor pod grozą wygnania lub turmy nie ważył się położyć na nich swego imienia, a niejedynemu drukarz i kolporter przyplacił głowę ich rozpowszechnianiu.

Twórczym jest Wolter w zakresie stylu i języka. Ten tok opowiadania, wartki, zwinny, przejrzysty; to zwięzłe

przedstawienie kolei faktów, na pozór suche, w istocie bardzo soczyste; to zdanie, krótkie, jasne, wolne od tak nużących nieraz zakrętasów XVIII w. – to zdobycz Woltera i przejście do dobrej prozy dziewiętnastowiecznej. Niejeden z wybornych późniejszych pisarzy, jak Merimée, Anatol France, nasunie nieraz na pamięć styl Woltera.

Kandyd jest satyrą na optymistyczną filozofię Leibniza będącą wówczas w modzie; Wolter używa tu bardzo zręcznie argumentu *ad hominem*⁴, sprowadzając rzecz z wysokości metafizycznych na ziemię i wydobywając siłą kontrastu efekty nieodpartego komizmu. Filozof Pangloss, który wobec walących się dokoła nieszczęść utrzymuje wciąż, że „wszystko jest najlepsze na najlepszym ze światów”, stał się przysłowiową postacią. Ale nie tylko przeciw filozofii Leibniza wymierzone jest ostrze satyry; niemniej zwraca się ono przeciw tym, którzy, prawiąc o nieskończonej dobroci Opatrzności, nie tylko głusi są na niedole ludzi, ale jeszcze ich w imię dobrotliwych niebiosów przymnażają. Wolter, jak to podobno lekarze stwierdzili, co rok w rocznicę nocy św. Bartłomieja⁵ miał

⁴ *ad hominem* (łac.) – dosł. do człowieka; argument *ad hominem*: niemerytoryczny sposób argumentowania odnoszący tezy rozumowania do konkretnej osoby. [przypis edytorski]

⁵ *noc św. Bartłomieja* – dokonana w Paryżu z 23 na 24 sierpnia 1572 r. rzeź, której ofiarą padło 3 tys. hugenotów (fr. kalwinów) na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny i która dała sygnał do dalszych rzezi w całej Francji; krwawą rozprawę z heretykami pochwalił papież Grzegorz XIII, złożył też specjalne podziękowania Katarzynie Medycejskiej jako inicjatorce zająć. [przypis edytorski]

gorączkę! Zaciekłość religijna, zabobon urodzenia, gorączka złota, fanatyzm, okrucieństwo, tysiąc szaleństw, które poruszają człowiekiem, defilują tu przed nami.

Jeżeli wierzyć *Wyznaniom* Russa⁶, geneza *Kandyda* była następująca. Wstrząśnięty wiadomością o trzęsieniu ziemi w Lizbonie, Wolter napisał poemat pod tytułem *Na ruinę Lizbony*. Rousseau, jak pisze, „uderzony, iż widzi tego biednego człowieka, przywalonego, aby tak rzec, pomyślnością i sławą, jak gorzko wciąż deklamuje przeciw nędzom życia i znajduje ustawicznie, że wszystko jest złe, powziął szalony pomysł, aby mu przemówić do duszy i udowodnić mu, że wszystko jest dobre”. Napisał doń list, na który Wolter przyrzekł mu odpowiedź; ta odpowiedź ukazała się po kilku latach, był nią *Kandyd*.

Powiastek napisał Wolter kilkanaście; wszystkie przypadają na późny okres jego życia; niektóre kreślił jako starzec z górą osiemdziesięcioletni. Czytając zwłaszcza te ostatnie, niepodobna oprzeć się uczuciu podziwu dla żywotności tego umysłu, dla gorącej miłości ludzkości, jaką czuć nawet pod najbardziej gorzkimi sarkazmami tego starca. W wielu z tych powiastek przeważa agitacyjna i wroga inwektywa przeciw dogmatom i metodom katolicyzmu, w myśl osławionego okrzyku: *Ecrasons l'infâme*⁷! Tendencję tę można odnaleźć u Woltera wszędzie, jest jego obsesją, i w niektórych pismach brzmi ona może zbyt

⁶ Russa – właśc. Rousseau. [przypis edytorski]

⁷ *ecrasons l'infâme* (fr.) – zniszczmy tę hańbę. [przypis edytorski]

napastliwie, wyłącznie i ciasno. Ale znowuż pamiętajmy, że niepodobna o tych sprawach sądzić wedle naszych czasów; że Wolter widział jeszcze dokoła rzeczy, na które wzdrygała się jego dusza i jego nerwy nowożytnego człowieka, i że takie sprawy jak owa słynna „sprawa Calasa”, niewinnie straconego i łamanego kołem, stanowią wiekuistą hańbę ludzkości. Obok tego piekącego wówczas problemu, obok niemniej krzyczącej o reformy kwestii ekonomicznej, w powiastkach tych przeważa nuta ogólnofilozoficzna i te zagadnienia, które prawdopodobnie po wieczne czasy będą zaprzętały myślącą ludzkość. Interesującą jest u Woltera nie tyle odpowiedź na te zagadnienia, ile sposób, w jaki je stawia: żywy, ciekawy, zabawny. A jeżeli z tego „chaosu jasnych myśli” (*chaos d'idées claires*), jakim nazywa Woltera jeden z krytyków, zechcemy wyłowić jego najszczerzą, najbardziej osobistą konkluzję, to będzie nią może owo zakończenie *Kandyda*, głoszące, dość zgodnie z ostatnią fazą życia samego pisarza, iż ostateczną mądrością jest – „uprawiać swój ogródek”. Tylko że „ogródkiem” Woltera było – i może na szczęście dla nas – rzucać przez całe życie kamienie w ogródki cudze...

Kraków, w sierpniu 1917.

Jak Kandyd chował się w pięknym zamku i jak go stamtąd wygnano

W Westfalii⁸, w zamku barona de Thunder-ten-tronckh, żył młody chłopiec, którego natura obdarzyła charakterem najłagodniejszym w świecie. Fizjonomia odzwierciedlała jego duszę. Posiadał dość zdrowy sąd o rzeczach, przy dowcipie⁹ niezmiernie prostym; mniemam, iż z tej przyczyny dano mu imię Kandyda¹⁰. Starzy słudzy podejrzewali, że jest synem siostry barona oraz pewnego zacnego i godnego szlachcica z sąsiedztwa, którego ta panna uparcie wzbraniała się zaślubić, ponieważ mógł się wywieść ledwie z siedemdziesięciu jeden pokoleń, reszta zaś drzewa genealogicznego gubiła się gdzieś w odmęcie czasów.

Baron był jednym z najpotężniejszych panów w Westfalii, zamek jego bowiem posiadał drzwi i okna. Główna komnata strojna była nawet dywanami. Zebrawszy wszystkie psy z obejścia, można było w potrzebie utworzyć coś na kształt sfory; chłopcy stajenni byli masztalerzami, miejscowy wikary wielkim jałmużnikiem. Wszyscy tytułowali barona „Jego Dostojnością” i śmiali się z jego conceptów.

⁸ *Westfalia* – Wolter, prawdopodobnie dla jakichś osobistych wspomnień, darzył Westfalię szczególną antypatią. [przypis tłumacza]

⁹ *dowcip* (daw.) – inteligencja. [przypis edytorski]

¹⁰ *Kandyd* – z fr. *candide*: naiwny, szczerzy, czysty. [przypis edytorski]

Pani baronowa, która ważyła około trzystu pięćdziesięciu funtów¹¹, zażywała z tej przyczyny wielkiego poważania; czyniła honory domu z godnością jedną jej tym większy szacunek. Córka, Kunegunda, licząca siedemnaście wiosen, była rumiana, świeża, pulchna i apetyczna. Syn okazywał się we wszystkim godny ojca. Preceptor¹² Pangloss¹³ był wyrocznią domu, a mały Kandyd słuchał jego nauk z ufnością właściwą jego wiekowi i naturze.

Pangloss wykładał tajniki metafizyko-teologo-kosmologigologii. Dowodził wprost cudownie, że nie ma skutku bez przyczyny i że na tym najlepszym z możliwych światów zamek JW. Pana barona jest najpiękniejszym z zamków, pani baronowa zaś najlepszą z możliwych kasztelanek.

– Dowiedzione jest – powiadał – że nic nie może być inaczej; ponieważ wszystko istnieje dla jakiegoś celu, wszystko, z konieczności, musi istnieć dla najlepszego celu. Zważcie dobrze, iż nosy są stworzone do okularów: dlatego mamy okulary. Nogi są wyraźnie stworzone po to, aby były obute, dlatego mamy obuwie. Kamienie są na to, aby je ciosano i budowano z nich zamki; dlatego Jego Dostojność pan baron ma bardzo piękny zamek: największy baron w okolicy musi mieć najlepsze mieszkanie. Świnie są na to, aby je zjadać; dlatego mamy

¹¹ *funt* – tzw. funt paryski wynosił 0,489 kg. [przypis edytorski]

¹² *preceptor* – wychowawca, nauczyciel. [przypis edytorski]

¹³ *Pangloss* – imię utworzone z gr. *pan*: wszystko i *glossa*: język, mowa. [przypis tłumacza]

wieprzowinę przez cały rok. Z tego wynika, iż ci, którzy twierdzili, że wszystko jest dobre, powiedzieli głupstwo; trzeba było rzec, że wszystko jest najlepsze.

Kandyd słuchał uważnie i wierzył w prostocie ducha; panna Kunegunda wydawała mu się bowiem bardzo urodziwa, mimo iż nigdy nie odważył się jej tego wyznać. Wnioskował, iż po szczęściu urodzenia się baronem de Thunder-ten-tronckh, drugim stopniem szczęścia jest być panną Kunegundą; trzecim widywać ją co dzień; czwartym zaś słuchać mistrza Panglossa, największego filozofa w okolicy, a tym samym na całej ziemi.

Jednego dnia Kunegunda, przechadzając się wpodle¹⁴ zamku po małym lasku, który nazywano parkiem, ujrzała w gęstwinie doktora Panglossa, jak dawał lekcję eksperymentalnej fizyki pokojówce jej matki, fertycznej brunetce, bardzo ładnej i niesrogiej. Ponieważ panna Kunegunda miała z natury wielką ciekawość do nauk, przyglądała się z zapartym oddechem owym kilkakroć ponawianym doświadczeniom; ujrzała jasno przekonującą argumentację doktora, przyczyny i skutki i wróciła do domu wzruszona, zadumana, wskroś przenikniona chęcią poświęcenia się naukom. Myślała przy tym, że ona mogłaby snadnie być skutecznym argumentem dla młodego Kandyda, on zaś nawzajem dla niej.

Spotkała Kandyda wracając do zamku i poczerwieniała; Kandyd poczerwieniał również. Rzekła mu przerywanym głosem „dzień dobry”; Kandyd odpowiedział, nie wiedząc sam,

¹⁴ *wpodle* – podług, wzdłuż. [przypis edytorski]

co mówi. Nazajutrz po obiedzie, kiedy wstawano od stołu, Kunegunda i Kandyd znaleźli się za parawanem; Kunegunda upuściła chusteczkę, Kandyd ją podniósł; wzięła go niewinnie za rękę; chłopiec ucałował niewinnie rękę panienki z żywością, uczuciem, wdziękiem nie do opisania; usta ich się spotkały, oczy zapłonęły, kolana zaczęły drżeć, ręce zabłąkały się. Baron Thunder-ten-tronckh przechodził koło parawanu i widząc tę przyczynę i ten skutek, wypędził Kandyda z zamku paroma kopniakami w pośladki. Kunegunda zemdlała; kiedy przyszła do siebie, otrzymała silny policzek od baronowej; tak wszystko zmaćiło się w najpiękniejszym i najmilszym z możebnych zamków.

Jak Kandyd dostał się między Bułgarów

Kandyd, wypędzony z raju ziemskiego, szedł długo, nie wiedząc dokąd, płacząc, wznosząc oczy do nieba, obracając je często ku najpiękniejszemu z zamków, który zawierał najpiękniejszą z baronówien. Położył się bez wieczerzy w szczerym polu, w bruździe między zagonami; śnieg padał wielkimi płatami. Nazajutrz przemarznięty do szpiku Kandyd zawlókł się do sąsiedniej wsi noszącej miano Valberghoff-trarbk-dikdorff bez grosza, umierając z głodu i znużenia. Zatrzymał się smutno u wrót gospody. Dwaj ludzie błękitno ubrani zwrócili nań oczy.

– Patrz, kamracie – rzekł jeden – doskonale zbudowany chłopak; ręczę, że ma przepisaną miarę.

Podeszli i zaprosili uprzejmie Kandyda na obiad.

– Panowie – rzekł Kandyd z uroczą skromnością – świadczyście mi wiele zaszczytu, ale nie mam czym zapłacić za siebie.

– Och, panie – rzekł jeden z błękitnych – osoby pańskiej powierzchowności i zalet nie płacą nigdy za nic: czyż nie posiadasz pięciu stóp i pięciu cali wzrostu?

– Tak, panowie, w istocie, to moja miara – odparł z ukłonem.

– Och, drogi panie, siadaj z nami; nie tylko wyrównamy za

ciebie rachunek, ale nie ścierpimy, aby człowiekowi takiemu jak pan miało kiedykolwiek braknąć pieniędzy; toć pierwszym obowiązkiem ludzi jest pomagać sobie wzajem.

– Macie słuszość – odparł Kandyd – toż samo powiadał mistrz Pangloss: widzę, że w istocie wszystko jest jak najlepiej.

Proszą, aby przyjął kilka talarów; bierze i chce wystawić oblig; nie przyjmują, siadają z nim do stołu.

– Powiedz, czy kochasz tkliwie...

– Ach, tak – odpowiedział – kocham tkliwie pannę Kunegundę.

– Nie – odparł jeden z nieznanym – pytamy, czy kochasz tkliwie króla Bułgarów¹⁵?

– Ani trochę – odpowiedział – nie widziałem go na oczy.

– Jak to! ależ to czarujący monarcha; trzeba wypić jego zdrowie.

– Och, bardzo chętnie, owszem.

Pije.

– Wystarczy – powiadają mu – oto jesteś ostoją, podporą, obrońcą, bohaterem Bułgarów; los twój zapewniony, sława niezawodna.

Wkładają mu natychmiast kajdany na nogi i prowadzą go do pułku. Każą mu się obracać w prawo, w lewo, brać broń na ramię, zdejmować, mierzyć, strzelać, podwajać krok i sypią mu trzydzieści kijów; nazajutrz wykonywa to samo mniej niezadarnie

¹⁵ *król Bułgarów* – to król pruski Fryderyk II; *Bułgarzy*: Prusacy; *Abarowie*: Francuzi. Cała anegdota stanowi aluzję do wojny siedmioletniej. [przypis tłumacza]

i dostaje tylko dwadzieścia; trzeciego dnia rzepią mu tylko dziesięć, a towarzysze patrzą nań jak na młody fenomen.

Kandyd, oszołomiony, nie pojmował jeszcze zbyt dobrze profesji bohatera. Pewnego pięknego dnia wiosennego wpadło mu do głowy puścić się na przechadzkę. Kroczył swobodnie przed siebie w mniemaniu, iż jest to przywilejem rodzaju ludzkiego jak i bydłęcego posługiwać się własnymi nogami wedle upodobania. Nie zrobił ani dwóch mil, kiedy dopadło go czterech innych sześciostopowych bohaterów: wiążą go i prowadzą do więzienia. Spytano go wedle form prawnych, czy woli przejść trzydzieści sześć razy przez różgi całego pułku, czy też otrzymać naraz dwanaście kul w mózgownicę. Próżno przedkładał, iż każdy człowiek posiada wolną wolę i że on osobiście nie życzy sobie ani tego, ani tego; trzeba było wybierać. Owóż, mocą owego daru boskiego, który nazywa się wolnością, namyślił się przejść trzydzieści sześć razy przez różgi: odbył dwie takie przechadzki. Pułk liczył dwa tysiące ludzi; to wyniosło cztery tysiące różeg, które od karku do pośladków obnażyły mu wszystkie mięśnie i nerwy. Gdy przyszła chwila trzeciej przechadzki, Kandyd przywiedziony do ostateczności poprosił jako o łaskę, aby mu raczono strzelić w łeb; uzyskał ten fawor; zawiązują mu oczy i każą klęknąć. W tejże chwili przejeżdża król Bułgarów, pyta o zbrodnię delikwenta; że zaś był to król obdarzony niepospolitym geniuszem, zrozumiał ze wszystkiego, co usłyszał o Kandydzie, że młody ten metafizyk bardzo jest nieświadomy spraw tego świata; jakoż ułaskawił go

ze wspaniałomyślnością, którą będą wysławiać wszystkie gazety po wszystkie wieki. Dzielny chirurg uleczył Kandyda w trzy tygodnie za pomocą maści przepisanych przez Dioskorydesa. Miał już nieco skóry i mógł chodzić, kiedy król Bułgarów wydał bitwę królowi Abarów.

Jak Kandyd umknął z armii Bułgarów i co mu się przytrafiło

Nie można sobie wyobrazić nic równie pięknego, sprawnego, świetnego, równie dobrze wyćwiczonego jak obie armie. Trąby, piszczałki, oboje, bębny, armaty, tworzyły harmonię, jakiej nie słyszano ani w piekle. Zrazu armaty obaliły po sześć tysięcy ludzi z każdej strony; następnie strzelanina uprzątęła z najlepszego ze światów dziewięć do dziesięciu tysięcy hultajów, którzy zanieczyszczali jego powierzchnię. Bagnet również uporał się z paroma tysiącami: wszystko razem mogło sięgać jakich trzydziestu tysięcy dusz. W czasie tych heroicznych jatek, Kandyd, który trząsł się jak szczery filozof, ukrył się, jak mógł, najtroskliwiej. Wreszcie, gdy obaj królowie kazali śpiewać, każdy w swoim obozie, *Te Deum*, powziął postanowienie, aby się udać gdzie indziej roztrząsać problemy przyczyn i skutków. Okraczając całe sterty trupów i umierających, dotarł do sąsiedniej wioski; zastał kupę popiołów; była to wieś abarska, którą Bułgarzy palili, wedle kanonów prawa publicznego. Tu pokłuci ranami starcy patrzyli, jak żony ich pozarzynane konały w męczarniach, tuląc dzieci do zakrwawionych piersi; tam dziewczyny z porozpruwanymi brzuchami, nasyciwszy naturalne popędy bohaterów, wydawały ostatnie tchnienie; inne, wespół spalone, krzyczały, aby je dobito. Mózgi walały się po ziemi

obok poucinanych rąk i nóg.

Kandyd umknął, co miał tchu, do dalszej wioski: należała do Bułgarów i bohaterowie abarscy obeszlę się z nią tak samo. Wciąż stając po drgających członkach lub po zwęglonych ciałach, wyostał się wreszcie poza pole bitwy, niosąc w tornistrze nieco zapasów i nie zapominając ani na chwilę o pannie Kunegundzie. Wiwenda skończyła się właśnie, kiedy dotarł do Holandii; ale, ponieważ słyżał, iż jest to kraj bogaty i chrześcijański, nie wąpił, że znajdzie przyjęcie równie dobre jak ongi w zamku barona, nim go wygnano stamtąd za sprawą pięknych oczu Kunegundy.

Zwrócił się do kilku poważnych obywateli z prośbą o jałmużnę; odpowiedzieli jednomyślnie, że, jeśli zechce dalej uprawiać to rzemiosło, będą zmuszeni oddać go do domu poprawy, iżby się nauczył przyzwoitości.

Zwrócił się następnie do człowieka, który dopiero co wobec wielkiego zgromadzenia rozprawał godzinę o miłosierdziu¹⁶. Ów spojrział nań z ukosa i rzekł:

– Co ty tu robisz? czy bawisz tu dla dobrej przyczyny?

– Nie ma skutku bez przyczyny – odparł skromnie Kandyd – wszystko wiąże się łańcuchem konieczności i dąży do najlepszego celu. Trzeba było, aby mnie wygnano z pobliza panny Kunegundy i abym przeszedł dwa razy przez różgi; tak samo trzeba, bym prosił o chleb, póki nie będę mógł nań

¹⁶ *człowieka, który (...) rozprawał o miłosierdziu* – chodzi o pastora protestanckiego.
[przypis tłumacza]

zapracować; nie mogło być inaczej.

– Mój przyjacielu – rzekł mówca – czy wierzysz, że papież jest antychrystem?

– Nie słyszałem jeszcze o tym – odparł Kandyd – ale czy jest, czy nie jest, ja nie mam chleba.

– Nie wart go jesteś – rzekł tamten – precz, nędzniku, precz, lotrze, nie zbliżaj się do mnie póki życia.

Żona mówcy wystawiła głowę przez okno i na widok człowieka, który wątpił, iż papież jest antychrystem, wypróżniła mu na łeb pełny... O, nieba! do jakichż wybryków posuwa się żarliwość religijna u dam!

Pewien człowiek, który nie był ochrzczony, poczciwy anabaptysta¹⁷ imieniem Jakub, ujrzał, w jak okrutny i haniebny sposób potraktowano jednego z jego braci, istotę o dwóch nogach bez pierza, obdarzoną duszą; zaprowadził go do siebie, umył go, dał mu chleba i piwa, obdarował go dwoma florenami, ofiarował się nawet zatrudnić go w swoich fabrykach perskich tkanin, które wyrabia się w Holandii. Kandyd, padając niemal na twarz przed dobroczyńcą, wykrzyknął:

– Dobrze powiadał mistrz Pangloss, że wszystko w świecie dzieje się najlepiej; pańska dobroć wzruszyła mnie o wiele bardziej niż okrucieństwo jegomości w czarnym płaszczu oraz jego małżonki.

Nazajutrz przechadzając się, spotkał nędzarza całego

¹⁷ *anabaptysta* – członek powstałej w XIX w. w Niemczech grupy wyznaniowej, która żądała m. in. powtórnego chrztu w wieku dojrzałym. [przypis tłumacza]

okrytego wrzodami, z martwymi oczyma, ze stoczonym¹⁸ końcem nosa, z wykrzywioną gębą, z czarnymi zębami, ochrypłym głosem, dręczonego okrutnym kaszlem i wypluwającego po jednym zębie przy każdym napadzie.

¹⁸ *stoczony* – tu: zgniły. [przypis edytorski]

Jak Kandyd spotkał swego dawnego mistrza filozofii, doktora Panglossa, i co z tego wynikło

Kandyd, bardziej jeszcze przejęty współczuciem niż grozą, oddał przerażliwemu nędzarzowi dwa floreny pocziwego anabaptysty. Widmo popatrzyło nań uważnie, zalało się łzami i padło mu na szyję. Kandyd cofnął się przerażony.

– Ach! – rzekł nędzarz do drugiego nędzarza – nie poznajesz już swego drogiego Panglossa?

– Co słyszę, to ty, ukochany mistrzu? ty, w tym okrutnym stanie! cóż za nieszczęście cię spotkało? czemu nie jesteś już w najpiękniejszym z zamków? co się stało z panną Kunegundą, perłą dziewic, arcytworem przyrody?

– Słabo mi – rzekł Pangloss.

Natychmiast Kandyd zawiódł go do domu anabaptysty, gdzie dał mu kawałek chleba; kiedy zaś Pangloss pokrzepił się nieco:

– I cóż – spytał – z Kunegundą?

– Umarła – odparł tamten.

Słyszając to, Kandyd zemdłał: przyjaciel ocucił go trochę lichego octu, który znalazł się przypadkiem w izbie. Kandyd otworzył oczy:

– Kunegunda umarła! Och, najlepszy ze światów, gdzieżeś jest? Ale z czego umarła? czyżby z tego, iż widziała, jak ojciec

jej wygania mnie z zamku nogą?

– Nie – rzekł Pangloss – rozpruli jej brzuch żołnierze bułgarscy, nagwałciwszy się jej wprzód, ile wlało; roztrzaskali głowę baronowi, który chciał jej bronić; baronową pokrajali na kawałki; mego biednego pupila spotkał los podobny jak siostrę, co się zaś tyczy zamku, nie pozostał ani kamień na kamieniu, ani jednej stodoły, ani barana, ani kaczkę, ani drzewa. Ale pomszczono nas wspaniale, Abarowie bowiem uczynili toż samo w sąsiednim zamku należącym do szlachcica bułgarskiego.

Słyszając to Kandyd ponownie zemdlał; następnie przyszedłszy do siebie i powiedziawszy wszystko, co miał do powiedzenia, zapytał o przyczynę i skutek i o *wystarczającą rację*, która doprowadziła Panglossa do tak żałosnego stanu.

– Niestety – rzekł tamten – miłość: miłość, pocieszicielka rodzaju ludzkiego, zachowawczyni świata, dusza wszystkich czujących istot, tkliwa miłość.

– Ach – rzekł Kandyd – poznałem i ja tę miłość, ową władczynię serc, duszę naszej duszy; przyniosła mi tylko jednego całusa i dwadzieścia kopniaków w siedzenie. W jaki sposób ta piękna przyczyna mogła sprawić w tobie tak żałosny skutek?

Pangloss odparł w tych słowach:

– O, drogi Kandydzie! znałeś Pakitę, subretkę dostojnej baronowej: zakosztowałem w jej ramionach słodczy raju; ale stały się one źródłem piekielnych mąk, które mnie oto trawią: była nimi skażona do szpiku; może umarła od nich! Pakita otrzymała ten podarek od uczonego franciszkanina, który dotarł

aż do źródła, miał go bowiem od starej hrabiny, która otrzymała go od kapitana kawalerii, który zawdzięczał go margrabinie, która dostała go od pazia, który otrzymał go od jezuita, który w czas swego nowicjatu posiadał go w prostej linii od jednego z towarzyszków Krzysztofa Kolumba. Co do mnie, nie udzielię go już nikomu, bo umieram.

– O Panglossie! – wykrzyknął Kandyd – cóż za osobliwa genealogia! zali nie diabeł był jej protoplastą?

– Wcale nie – odparł ów wielki człowiek – była to rzecz nieodzowna na najlepszym ze światów, *składnik konieczny*; gdyby Kolumb nie nabył na wyspie Ameryckiej tej choroby, która zatruwa źródło płodzenia, często udaremniając samo płodzenie, i która jest najoczywiściej sprzeczna z wielkim celem przyrody, nie mielibyśmy ani czekolady ani koszenili; a trzeba jeszcze zauważyć, że do dziś na kontynencie choroba ta jest naszą specjalnością, jak spory teologiczne. Turcy, Indianie, Persowie, Chińczycy, Syjamczycy, Japończycy nie znają jej jeszcze; ale istnieje *wystarczająca* racja, aby ją poznali z kolei w ciągu następnych wieków. Na razie, uczyniła ona cudowne postępy wśród nas, a zwłaszcza w owych armiach złożonych z poczciwych, dobrze wytresowanych rekrutów, które rozstrzygają o losach państw. Można twierdzić stanowczo, iż kiedy trzydzieści tysięcy ludzi walczy w regularnej bitwie przeciw drugiej armii tej samej siły, po każdej stronie znajduje się około dwudziestu tysięcy dotkniętych franą.

– To cudowne – rzekł Kandyd – ale trzeba się leczyć, mistrzu.

– W jaki sposób? – odparł Pangloss – nie mam ani szeląga, mój przyjacielu: na całej zaś powierzchni kuli ziemskiej nikt ci nie puści krwi ani nie wsunie lewatywy, o ile mu nie zapłacisz, albo o ile ktoś inny nie zechce zapłacić za ciebie.

Te ostatnie słowa zrodziły w Kandydzie postanowienie: rzucił się do nóg miłosiernego Jakuba i odmalował tak wzruszająco stan przyjaciela, iż poczciewicz nie zawahał się przygarnąć doktora Panglossa; dał go leczyć swoim kosztem. Dzięki kuracji Pangloss postradał tylko jedno oko i jedno ucho. Pisał dobrze i doskonale znał arytmetykę. Anabaptysta Jakub powierzył mu prowadzenie ksiąg. Po upływie dwóch miesięcy, zmuszony udać się do Lizbony w sprawach handlowych, zabrał na okręt obu filozofów. Pangloss wytłumaczył mu, jako wszystko w świecie dzieje się możliwie najlepiej. Jakub nie był tego zdania.

– Musieli ludzie – rzekł – zepsuć cokolwiek naturę; nie urodzili się wszak wilkami, a stali się wilkami. Bóg nie dał im ani armat 24-go kalibru, ani bagnetów, oni zaś sporządzili sobie bagnety i armaty, aby się uśmiercać wzajem. Mógłbym przytoczyć również bankructwa oraz trybunały, które zagarniają mienie bankrutów, aby zeń wyzuć wierzycieli.

– Wszystko to jest nieodzowne – odparł jednooki doktor – niedole poszczególne składają się na powszechne dobro; tym samym im więcej jest nieszczęść poszczególnych, tym bardziej całość jest dobra.

Gdy tak rozumował, ściemniło się, wiatry zadęły ze wszystkich stron naraz i tuż pod samym portem okręt stał się

igraszką najstraszliwszej burzy.

Burza, rozbicie, trzęsienie ziemi, jako też inne przygody doktora Panglossa, Kandyda i anabaptysty Jakuba

Połowa podróżnych osłabionych, dławionych niepojętą męczarnią, w jaką kołysanie okrętu wprawia nerwy i wszystkie humory cielesne wstrząsane w najsprzecznějších kierunkach, nie miała nawet siły troszczyć się o bezpieczeństwo. Druga połowa wydawała okrzyki i wznosiła modły; żagle poszły w strzepy, maszty w drzazgi, dno się rozpukło. Pracował kto mógł, jeden nie rozumiał drugiego, nikt nie kierował pracą. Anabaptysta pomagał trochę przy sterze, stojąc na pomoście; jakiś majtek, wściekły, uderzył go z całych sił i rozciągnął go na pokładzie, ale od ciosu, jaki mu wymierzył, sam doznał tak gwałtownego wstrząsu, iż wypadł na łeb ze statku. Tak wisiał zaczepiony o kawałek złamanego masztu. Dobry Jakub śpieszy z pomocą, pomaga mu wgramolić się z powrotem i z wielkiego wysiłku stacza się w morze w oczach tegoż majtka, który pozwala mu zginać, nie racząc nawet nań spojrzeć. Kandyd zbliża się, widzi swego dobroczyńcę, jak zjawia się jeszcze raz na fali i zanurza się w niej na zawsze. Chce się rzucić za nim w morze: filozof Pangloss wstrzymuje go, dowodząc, iż zatokę Lizbońską stworzono umyślnie w tym celu, aby anabaptysta w niej utonął. Gdy to udowadniał *a priori*, okręt rozszczenia

się i pęka; wszystko ginie z wyjątkiem Panglossa, Kandyda i nieludzkiego majtka, który dał utonąć cnotliwemu anabaptyście; hultaj dopłynął szczęśliwie do brzegu, dokąd też Pangloss i Kandyd dostali się na belce.

Skoro trochę przyszli do siebie, powędrowali do Lizbony, zostało im nieco pieniędzy, przy pomocy których mieli nadzieję uratować się od głodu, ocalawszy tak szczęśliwie z burzy.

Ledwie stanęli w mieście, płacząc nad śmiercią dobroczyńcy, uczuli, że ziemia drży im pod stopami¹⁹; morze wznosi się i bałwani w porcie, krusząc okręty stojące na kotwicy. Kłęby ognia i dymu napełniają ulice i rynki; domy wałają się, dachy osuwają się na fundamenty, a fundamenty rozsypują się w gruzy: trzydzieści tysięcy mieszkańców wszelkiego wieku i płci znajduje śmierć pod ruinami. Majtek powiada, pogwizdując i klnąc pod nosem:

– Można tu będzie coś zarobić przy tej okazji.

– Jaka może być *wystarczająca* racja tego fenomenu? – pytał Pangloss.

– To już chyba koniec świata! – wykrzyknął Kandyd.

Majtek pędzi niezwłocznie między ruiny, naraża się na śmierć, aby znaleźć nieco pieniędzy, znajduje je, zagarnia, upija się, po czym jeszcze odurzony winem kupuje uścisk pierwszej

¹⁹ *uczuli, że ziemia drży im pod stopami* – Trzęsienie ziemi w Lizbonie nastąpiło dn. 1 listopada 1755; towarzyszyły mu straszliwe pożary i sceny łupiestwa. Pochłonęło blisko 20 000 ofiar. Wolter napisał z przyczyny tego wypadku poemat, który dał powód do polemiki listowej z Janem Jakubem Rousseau. Kandyd jest ostatecznym zamknięciem tej polemiki, którą obszernie wzmiankuje Rousseau w swoich *Wyznaniach*. [przypis tłumacza]

dziewki spotkanej na gruzach domów, pośród umierających i umarłych. Wśród tego Pangloss ciągnie go za rękaw:

– Mój przyjacielu – mówił – niedobrze sobie poczynasz; *chybiasz powszechnemu rozumowi*, chwila nie jest zgoła po temu.

– Do kroćset kaduków – odparł tamten – jestem majtek rodem z Batawii; zdeptałem cztery razy krucyfiks w czterech podróżach do Japonii²⁰; dobrześ się wybrał, człeku, ze swoim powszechnym rozumem!

Parę odłamków zraniło Kandyda; leżał na ulicy, przysypany gruzem. Mówił do Panglossa:

– Przez litość! postaraj się o trochę wina i oliwy; umieram.

– Owo trzęsienie ziemi, to nie żadna nowość – odparł Pangloss – miasto Lima w Ameryce uległo w zeszłym roku takiemuż wstrząśnieniu; te same przyczyny, ten sam skutek; niezawodnie musi się ciągnąć żyła siarki pod ziemią od Limy do Lizbony.

– To wielce prawdopodobne – odrzekł Kandyd – ale, na Boga, trochę oliwy i wina.

– Jak to prawdopodobne? – odparł filozof – twierdzę, że to rzecz udowodniona.

Kandyd stracił przytomność, Pangloss zaś przyniósł nieco wody z pobliskiej studni.

Nazajutrz znalazłszy wśród gruzów jakieś prowianty, skrzepili się nieco. Następnie wzięli się po równi z drugimi do pracy, aby

²⁰ *zdeptałem cztery razy krucyfiks w czterech podróżach do Japonii* – Holendrzy w XVII w. w Japonii dla ułatwienia sobie handlu zgodzili się „podeptać krzyż” i wyprzeć się chrześcijaństwa. [przypis tłumacza]

użyć doli pozostałych przy życiu mieszkańców. Paru obywateli, którym użyczyli pomocy, zaprosiło ich na obiad, ot, na jaki można się było zdobyć wśród takiej katastrofy. Posiłek był smutny; biesiadnicy skraplali chleb łzami; ale Pangloss pocieszył ich, upewniając, iż nie mogło być inaczej:

– Wszystko to – powiadał – jest możliwie najlepiej: jeżeli bowiem wulkan jest w Lizbonie, nie mógł być gdzie indziej; nie jest bowiem możebne, aby rzeczy nie były tam gdzie są, wszystko bowiem jest dobrze.

Mały, czarniawy człowieczek, zauszniak Inkwizycji, a sąsiad Panglossa przy stole, ozwał się uprzejmie:

– Widocznie łaskawy pan nie wierzy w grzech pierworodny; jeśli bowiem wszystko jest najlepiej, nie było ani upadku, ani kary.

– Wasza Ekscelencja raczy łaskawie darować – odparł Pangloss jeszcze uprzejmiej – upadek człowieka i przekleństwo wchodziły nieodzownie w skład najlepszego z możliwych światów.

– Zatem szanowny pan nie wierzy w wolną wolę? – rzekł ów konfident.

– Wasza Ekscelencja wybaczy – rzekł Pangloss – wolność może istnieć wraz z nieodzowną koniecznością; *albowiem* było konieczne, abyśmy byli wolni; *albowiem*, ostatecznie, wolność określona [jest] przeznaczeniem...

Pangloss nie skończył mówić, kiedy konfident dał znak podczaszemu, który mu nalewał szklanek wina Porto czy też

Oporto.

Jak uczyniono piękne *autodafé*²¹, aby zapobiec trzęsieniom ziemi i jak Kandydowi wychłostano zadek

Po trzęsieniu ziemi, które zniszczyło trzy czwarte Lizbony, mędracy owej krainy nie znaleźli skuteczniejszego środka przeciw całkowitej ruinie, jak dać ludowi piękne *autodafé*. Uniwersytet w Coimbre orzekł, iż widowisko kilku osób spalonych uroczyście na wolnym ogniu jest niezawodnym sekretem przeciwko trzęsieniu ziemi.

W myśl tego zapatrywania pochwycono jakiegoś Biskajczyka, któremu dowiedziono, iż zaślubił swą kumę, oraz dwóch Portugalczyków, którzy, jedząc kuraka, oddzielili tłustość²²: również związano po obiedzie doktora Panglossa i jego ucznia Kandyda, jednego za to, że mówił, drugiego, że przysłuchiwał się z potakującą miną. Zaprowadzono obu, każdego oddzielnie, do nader cienistych mieszkań, w których nigdy nie ma przyczyny uskarżać się na zbytek słońca. W tydzień

²¹ *autodafé* – istotnie, *auto-dafé* miało miejsce 20 czerwca 1756 [*auto-da-fé* (z portug.: akt wiary), uroczystość kończąca proces inkwizycyjny osób oskarżonych o herezję, czary i in. odstępstwa od religii katolickiej, polegająca na publicznym wyznaniu winy, skruchy i deklaracji wiary katolickiej, po niej następowała egzekucja; Red. WL]. [przypis tłumacza]

²² *jedząc kuraka, oddzielili tłustość* – podstawa oskarżenia przez inkwizycję o praktykowanie judaizmu. [przypis edytorski]

później ustrojono obu w *san-benito*²³ i ozdobiono im głowy mitrami z papieru: mitra i *san-benito* Kandyda pomalowane były w płomienie odwrócone, diabły zaś były bez ogonów i pazurów; natomiast diabły Panglossa posiadały pazury i ogony, a płomienie strzelały ku górze. Tak odziani szli w procesję i wysłuchali wzruszającego kazania, któremu towarzyszyły uczone śpiewy. Kandyda oćwiczono rytmicznie, w takt melodyj. Biskajczyka i dwóch nieboraków, którzy nie chcieli jeść szmalcu, spalono, Panglossa zaś powieszono, mimo że to nie było w zwyczaju. Tegoż samego dnia ziemia zatrzęsa się na nowo²⁴ z przerażającym łoskotem.

Kandyd, przerażony, oszołomiony, odurzony, cały zakrwawiony i drżący, powiadał sam do siebie: „Jeżeli to jest najlepszy z możliwych światów, jakież są inne? mniejsza jeszcze, gdyby mnie tylko oćwiczono, toż samo zdarzyło mi się u Bułgarów; ale, o drogi Panglossie! największy z filozofów, trzebaż, bym patrzył, jak dyndasz, nie wiadomo za co! o, drogi anabaptysto, najlepszy z ludzi, trzebaż było ci utonąć w porcie! o, panno Kunegundo! perło dziewic, trzebaż, aby ci rozpruto żołądek!

Włókł się z miejsca kaźni, ledwie trzymając się na nogach, napomniany, oćwiczony, rozgrzeszony i pobłogosławiony, kiedy

²³ *san-benito* – żółty płaszcz podobny krojem do habitów zakonu św. Benedykta, w który ubierano ofiary Inkwizycji. [przypis tłumacza]

²⁴ *ziemia zatrzęsa się na nowo* – istotnie, w r. 1756 zdarzyły się ponowne trzęsienia ziemi. [przypis tłumacza]

zbliżyła się doń jakaś staruszka i rzekła:

– Synu, bądź dobrej otuchy i chodź ze mną.

Jak pewna staruszka zaopiekowała się Kandydem i jak odnalazł przedmiot swego kochania

Kandyd nie nabrał wprawdzie otuchy, ale udał się za staruszką do lepianki: dała mu słoik tłustości, aby się natarł, zostawiła mu jeść i pić; wskazała łóżko skromne, ale dość czyste; obok łóżka znalazła się odzież.

– Jedz, pij, śpij – rzekła – i niech Najświętsza Panna z Atiochii, Jego Dostojność św. Antoni z Padwy i Jego Dostojność św. Jakub z Compostelli mają cię w swej opiece! wrócę jutro.

Kandyd, wciąż silnie zdziwiony wszystkim, co widział i co wycierpiał, a jeszcze więcej miłosierdziem staruszki, chciał ucałować jej rękę.

– Nie moją rękę trzeba ci całować – rzekła stara – wrócę jutro. Nasmaruj się, jedz i śpij.

Mimo tylu nieszczęść Kandyd zjadł i usnął. Nazajutrz stara przynosi mu śniadanie, ogląda grzbiet, naciera inną jeszcze maścią; przynosi następnie obiad; wraca o zmroku i przynosi wieczerzę. Nazajutrz dopełnia znowuż tych samych obrządków.

– Kto jesteś? – pyta wciąż Kandyd – kto cię natchnął taką dobrocią? jak ci odwdzięczyć?

Dobra kobieta nie odpowiadała nic. Wróciła nad wieczorem, ale bez prowiantów.

– Pójdź ze mną – rzekła – i nie mów ani słowa.

Bierze go pod ramię i idzie z nim przez pole, mniej więcej ćwierć mili: przybywają do ustronnego domku, otoczonego ogrodem i kanałami. Staruszka puka do małych drzwiczek. Otwierają; prowadzi Kandyda ukrytymi schodkami do złotego gabinetu, sadza go na adamaszkowej kanapie, zamyka drzwi i odchodzi. Kandyd miał uczucie, że śni: dotychczasowe życie zdało mu się snem złowrogim, obecna zaś chwila snem rozkosznym.

Stara zjawia się niebawem, z trudem podtrzymując drugą kobietę o wyniosłej postaci, drżącą na całym ciele, lśniąca od drogich kamieni i okrytą zasłoną.

– Zdejm ten welon – rzekła stara.

Młody człowiek zbliża się; podnosi welon nieśmiałą ręką. Co za chwila! co za niespodzianka! zdaje mu się, iż widzi Kunegundę; widzi ją w istocie, to ona! Siły go opuszczają, nie może wymówić słowa, pada jej do nóg. Kunegunda osuwa się na kanapę. Stara skrapia ich trzeźwiącą wódką, odzyskują zmysły, mowę: zrazu padają przerywane słowa, krzyżują się pytania, odpowiedzi, westchnienia, łzy, okrzyki. Stara zaleca im, aby robili mniej hałasu, i zostawia ich samych.

– Jak to, to ty – rzekł Kandyd – żyjesz, odnajduję cię w Portugalii! Nie zgwałcono cię zatem? nie rozpruto ci żołądka, jak mi zaręczał Pangloss?

– Owszem – odparła piękna Kunegunda – ale nie zawsze się umiera od tych dwóch przykrości.

– Ale ojca i matkę zabito?

– Niestety, tak – rzekła Kunegunda, płacząc.

– A brat?

– Brata także.

– I skąd wzięłaś się w Portugalii? jak dowiedziałaś się, że ja tu jestem? jakim zbiegiem okoliczności kazałaś mnie sprowadzić do tego domu?

– Opowiem po kolei – rzekła dama – ale wprzód ty opowiedz mi wszystko, co ci się przygodziło od czasu naszego niewinnego pocałunku oraz kopniaka, który otrzymałeś w zamian.

Kandyd z głębokim uszanowaniem poddał się jej woli; mimo iż jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia, mimo że głos jego był słaby i drżący, a krzyż pacierzowy dolegał mu jeszcze, opowiedział z największą prostotą wszystko, czego doznał od chwili rozłączenia. Kunegunda wznosiła oczy do nieba: zrosiła łzami śmierć dobrego anabaptysty i Panglossa; po czym rzekła w tym sensie do Kandyda, który nie tracił ani słowa, pożerając ją przy tym oczami:

Historia Kunegundy

Leżałam w łóżku i spałam spokojnie, kiedy spodobało się niebu zesłać Bułgarów do naszego pięknego zamku Thunder-ten-tronckh. Zamordowali ojca i brata, matkę pokrajali na kawałki. Olbrzymi Bułgar wysoki na sześć stóp widząc, iż przejęta grozą straciłam przytomność, zabrał się do gwałcenia. To mnie ocuciło; odzyskałam zmysły, zaczęłam krzyczeć, szamotać się, gryźć, drapać, chciałam wydrzeć oczy Bułgarowi, nie wiedząc, iż to wszystko jest rzecz uświęcona zwyczajem. Brutal zadał mi w lewe biodro pchnięcie, od którego mam jeszcze znak.

– Och, pokażesz mi, prawda? – rzekł prostoduszny Kandyd.

– Pokażę – rzekła Kunegunda – ale idźmy dalej.

– Idźmy dalej – odparł Kandyd.

Kunegunda podjęła w te słowa:

Wszedł kapitan bułgarski, ujrzał mnie całą we krwi oraz żołnierza nie krępującego się bynajmniej jego obecnością. Kapitan rozgniewany tym, iż cham okazuje mu tak mało uszanowania, zabił go z miejsca na mym ciele. Następnie kazał mnie opatrzyć i zawiódł jako branke wojenną na kwaterę. Prałam mu tych kilka koszul, które posiadał, gotowałam strawę i, trzeba przyznać, przypadłam mu wielce do gustu. Co do mnie, nie zapieram się, że był to bardzo dobrze zbudowany mężczyzna i że miał skórę delikatną i białą; zresztą umysł słabo rozwinięty, mało filozoficzny: znać, iż nie chowany przez

doktora Panglossa. Po upływie trzech miesięcy roztrwoniwszy wszystko, co posiadał i sprzykrzywszy mnie sobie, sprzedał mnie Żydowi nazwiskiem don Issachar, który trudnił się handlem w Holandii i Portugalii, a przy tym namiętnie lubił kobiety. Ten Żyd pokochał mnie gorąco, ale nic nie mógł wskórać; oparłam mu się skuteczniej niż bułgarskiemu żołnierzowi: osoba z honorem może być zgwałcona raz, ale cnota jej hartuje się od tego. Aby mnie obłaskawić, Żyd pomieścił mnie w tym pałacyku. Dotąd myślałam, że nie ma na ziemi nic równie pięknego jak zamek Thunder-ten-tronckh; poznałam, że się myliłam.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.